

Irena SŁAWIŃSKA

POŻEGNANIE „WROGA” (Tryptyk paraboliczny)

Dla uzasadnienia podtytułu – przywołajmy Norwidowską formułę o parabolizujących się wydarzeniach. Na pozór proste, zwyczajne, szare czy – po Norwidowsku: „bezkolorowe” – obleka w szczególne znaczenia lub wręcz symboliczną godność sama ich sekwencja i kumulacja.

Tak się stało przecież w bardzo nabrzmiałym okresie mego życia, rozpiętym między nadzieją i rozpaczą, w mojej „ojczyźnie domowej”, właśnie utraconej. Trzy skrzydła tego tryptyku sytuują się między początkiem lipca 1944 i lutym 1945; w przekładzie na kategorie historycznych wydarzeń: „między Ostrą Bramą” i „Jaltą”. Scenerią tych wydarzeń stało się miasto, już przechrzczone.

I. „IN HOC SIGNO...”

Najwcześniejsze z tych wydarzeń przypada na pierwsze dni lipca i wiąże się z akcją nazwaną „Ostra Brama”, akcją będącą finalnym aktem „Burzy”. To etap walk ulicznych, nękania Niemców i wypierania z miasta – choć na razie było jeszcze w niemieckich rękach. Akcję tę prowadziły oddziały Armii Krajowej, a ściślej grupy partyzantów kryjące się po cmentarzach, ogrodach, strychach i dachach.

W Wilnie znalazłam się w końcu czerwca 1944, bezpośrednio z Glinciszek, po przeprowadzonej tam ekshumacji kilkudziesięciu (39.) ofiar mordu dokonanego na mieszkańcach osiedla przez litewskie formacje policyjne. Wstrząśnięta śmiercią wielu znanych mi dzieci, w tym moich uczniów, nie szukałam już bezpiecznego schronienia. Dotarłam do przyjaciół zamieszkałych w kompleksie gmachów uniwersyteckich, w domu, który ongiś „piorun zaszczycił pierwszeństwem”.

A tu nagle – strzelanina, alarm! Zegnano nas wszystkich do piwnic – to partyzanci strzelali z dachów do oddziałów niemieckich. Zagrożono nam śmiercią, rozstrzelaniem. Podniósł się lament matek i dzieci. Kres temu poło-

żyły pertraktacje moich przyjaciół Poznaniaków: rzeczowy spokój pana Bolesława skutkował zawieszeniem wyroku pod warunkiem, że akcja partyzancka się tu nie powtórzy. Wtedy zginiemy wszyscy. Mieliśmy jednak pozostać w piwnicy.

Nie, taki zaduch i lamenty to nie dla mnie – powiedziałam sobie. Pomknęłam więc na najwyższe piętro, do mieszkania przyjaciół. Drzwi otwarte – znęcił mnie tapczan, na który się rzuciłam, szybko się rozebrawszy, znużona piskami i zaduchem. Nie bez ucisku sumienia jednakże: grzech przeciw wspólności! Nie dane mi było jednak zaznać spokoju: zaraz nowa strzelanina z dachu, nowa akcja partyzantów! „Źle! – przeszła mnie myśl – Trzeba czym prędzej zbiec na dół. Najpierw: ubrać się. Zdażyć”. Niezgrabnie wbiłam się w sukienkę. Skok ku drzwiom – wprost na Niemca.

Potem już wszystko następowało jak w przyspieszonym filmie: przyciągnął mnie i osłonił peleryną. Z dołu dudniły już po schodach ciężkie kroki: nadbiegali żołnierze. Wtedy usłyszałam spokojny głos mego wybawcy: „Da ist niemand!”. Kroki oddaliły się.

I wtedy właśnie – zanim uchyliła się peleryna – dając mi znak do ucieczki – ręka, którą do owej chwili nazwałabym ręką wroga, przekreśliła moje czoło wzdłuż i w poprzek, najszlachetniejszym gestem człowieczym. In hoc signo przyszło ocalenie – a z nim dar, cenniejszy niż życie.

Zbiegłam do wystraszonej gromadki: „Nikt z nas nie zginie!” – oświadczyłam z mocą, nie dodając: „Bo ja mam jeszcze coś do spełnienia”. Dopiero po latach spotkałam taką formułę Herberta: „Ocalałeś nie po to, aby żyć: masz mało czasu, trzeba dać świadectwo”.

II. „PO ŁAMANIU CHLEBA...”

Listopad. „Zły to miesiąc dla Polaków” – a wówczas, w 1944 roku – okrutnie zły. Wyrzuceni już z naszych mieszkań, stłoczeni po kilka obcych rodzin w jakichś izbach bez szyb, wody, opału, z nakazem całonocnych dyżurów na podwórzu w ostrym już mrozie... Budzeni nocą dla „prowierki dokumentów” (po której zawsze coś ginęło)... No i stale głodni, bo mały „pajok”, należny tylko osobie pracującej, musiał wyżywić całą rodzinę (w moim wypadku: czteroosobową). Miało nas to skłonić do „dobrowolnego” wyjazdu... Różnie oszukiwało się ten stały głód: pracą, przyjacielskimi pogawędkami, pożegnalnym obchodzeniem miasta, lekcjami z młodzieżą (tajne nauczanie trwało przecież nadal). Całe dni spędzałam w Archiwum, zrazu Państwowym, a potem Miejskim; tam też spotykały się komplety i przepisywało się na maszynie komunikaty radiowe.

Jako osoba pracująca dostawałam też kartkę na obiad do stołówki, którą stała się przemiła ongiś cukiernia Sztralla. Chodziliśmy pojedynczo, na zmianę, więc tzw. obiad zawsze w obcym gronie.

I tym razem przysiadło się do mnie jakieś małżeństwo litewskie. Rozmawiali między sobą, nie zwracając na mnie uwagi. Zbliżył się jednak jeszcze jeden mężczyzna, o miłej twarzy. Pozdrowił nas zwykłym „Łaba diena”. Odburknęłam mu również po litewsku: „Łabas”. Wdał się w rozmowę z małżeństwem, ale jakby mnie obserwując kątem oka. Dostrzegł, że szybko schowałam dodany do wasserzupki kawałek chleba (dla Krzysia, naturalnie). Wstał: zmusił mnie – przenikliwym spojrzeniem – do podniesienia oczu. Przewalczył ich ostrość. Wtedy wyjął z teczki bochenek chleba i połamał go na cztery części – dla każdego z nas. Położył przede mną. Czy przesłyszałam się, czy naprawdę szepnął: „Accipe...”? Jak długo płakałam z głową opartą o blat stolika – nie wiem. Nie w cukierni Sztralla byłam przecież, tylko tam, w dalekiej Judei. Ale chleb leżał przede mną, rzeczywisty. Na świadectwo.

III. „TE POGAŃSKIE RĘCE...”

I to wydarzenie sytuuje się w Wilnie, tym razem we wspomnianym już Archiwum Miejskim zajmującym budynki klasztorne OO. Franciszkanów, częściowo już okupowane wówczas przez lazaret sowiecki. Ranni żołnierze odwiedzali nas często czy to dla rozmów (wartych utrwalenia!), czy z prośbą o napisanie lub odczytanie listów: z „bukwami” gorzej sobie radzili niż z ludnością cywilną! Grono nasze – pracowników Archiwum – było czysto polskie: dr Jerzy Orda, mgr H. Michniewicz, dr Zimnicki (dyrekcja), ja – techniczny pracownik i pan Jabłonowski z Poznania, bardzo kulturalny pan, chyba ongiś wysoki urzędnik. Tam właśnie dosięgła nas hiobowa wieść o Jałcie.

Grom z jasnego nieba! Więc alianci uznali Stalina za jedyne zwycięzcę, który może dyktować światu prawa? Tylko on ma zdecydować o nowej mapie Europy – bez względu na sytuację etniczną i kulturową Europy Środkowej i Wschodniej?

Czytało się nieraz w starych powieściadłach o sytuacji, w której „pani hrabina, przeczytawszy list od niewiernego kochanka, osunęła się martwa na ziemię”. Czytało się to z przymrużeniem oka, naturalnie. Któżby w to wierzył? A jednak...

I to nikt z nas, wilnian, którzy traciliśmy naszą domową ojczyznę, przez nas przecież zamieszkałą, o kulturze przez nas wieki budowanej! – ale właśnie on, jedyny pośród nas przybysz z Wielkopolski pojął od razu rozmiar tego werdyktu. Szepnął tylko: „To już koniec!” (wolności? świata? kultury?) i – dosłownie! – osunął się martwy na ziemię.

Nie pamiętam już – sama w szoku! – czy wezwano lekarza z lazaretu, który by stwierdził zgon. Postanowiono go przenieść do kościoła Franciszkanów, tuż obok przecież.

Jabłonowski był wysokim mężczyzną (słusznego wzrostu), lat około pięćdziesięciu, silnej budowy. Niełatwo go było dźwignąć – ani kruchutki dr Orda,

ani dr Zimnicki nie wchodzili tu w rachubę jako odpowiednia siła. Rozglądaliśmy się bezradnie.

I wtedy właśnie ruszył ku nam żołnierz sowiecki z lazaretu. Szedł powoli, sam przecież chory. Zbliżył się z wyraźną intencją pomocy. „Izwoltie...”. Pod-erwało mnie. Krzyknęłam do kolegów: „Chybaby nie chciał, by go dotknęły takie pogańskie ręce!”. Ale żołnierz już się pochylił nad zwłokami. I wtedy zza kołnierza jego brudnej i poszarpanej koszuli wysypały się medaliki i szkaplerze.